

FRAGMENTY WSPOMNIENÍ 1910-1945 (cz. 2.)

W Adiutanturze Generalnej Naczelnego Wodza Przydział do Biura Kapituły Orderu Virtuti Militari Wybór na sekretarza Kapituły

Był to dla mnie wielki zaszczyt, gdy dowiedziałem się o rozkazie przydzielającym mnie do Adiutantury Generalnej Naczelnego Wodza. Zameldowałem się w Belwederze u generała Jana Jacyny, Adiutanta Generalnego. Przy najbliższej okazji zostałem przedstawiony Marszałkowi jako nowo przydzielony oficer. Skład osobowy Adiutantury był dość liczny; około dwudziestu oficerów różnych broni i różnych stopni. Spośród szwoleżerów byłem pierwszym i jedynym przydzielonym oficerem. Adiutantami przybocznymi byli wówczas porucznicy Władysław Sołtan i Maurycy Potocki z 1 Pułku Ułanów Krechowieckich, por. Mateusz Iżycki z 12 pułku ułanów, por. Leon Horodecki z artylerii i por. Czesław Kadenacy, również artylerzysta (siostrzeniec Marszałka). Z kawalerzystów był jeszcze por. Marian Skrzynecki z 7 pułku ułanów, rtm. Radomyski z 1 Pułku Ułanów Krechowieckich – dowódca szwadronu przybocznego – i rtm. Markiewicz z 1 pułku ułanów – dowódca kwatery Naczelnego Wodza. Ponadto różne funkcje pełnili m. in. Walery Sławek, mjr Kazimierz Świtalski, mjr Adam Dobrodzicki, mjr Maciesza, kpt. Kazimierz Głabisz, kpt. Nałęcz-Korzeniowski, lekarz por. Stefan Mozolowski i inni. Ponieważ moja ranna noga wymagała jeszcze kuracji, wychodziłem na zabiegi do zakładu dra Łuczyńskiego na różne naświetlania i elektryzacje pod kierunkiem doskonałego lekarza dra Knoffa oraz do zakładu „Omega” na ćwiczenia dla sprawniejszego władania nogą.

Przydzielono mnie do stałej pracy w Biurze Kapituły Orderu Virtuti Militari, jako zastępcę kierownika mjra Macieszy. Biuro Kapituły było przy Naczelnym Wodzu, który był z urzędu przewodniczącym Kapituły. Biuro prowadziło archiwum, ewidencję i dokumentację w sprawach odznaczeń Orderem Virtuti Militari oraz spra-

wy bieżące i kancelaryjne. Szefem biura był mjr Maciesza, zasłużony działacz niepodległościowy i oficer I Brygady Legionów, cieszący się wielkim szacunkiem, sympatią i dużą popularnością.

Obok stałej pracy w Biurze Kapituły pełniłem dodatkowo służbę w Adiutanturze, zwłaszcza nocne dyżury dla odciążenia przybocznych adiutantów. Atmosfera wśród oficerów Adiutantury Generalnej była bardzo miła. W Biurze Kapituły stosunki układały mi się również bardzo dobrze, w atmosferze życzliwości. Personel Biura, w większości podoficerowie, aczkolwiek jeszcze młodzi wiekiem, byli starymi żołnierzami frontowymi o dobrych kwalifikacjach i o dużych wartościach ideowych. W szczególnie serdecznej pamięci zachowałem z tego okresu tak wysoce wartościowych ludzi, jak st. sierż. Franciszek Sakowski (po latach awansował do stopnia kapitana), st. sierż. Sadowski (też doszedł do stopnia kapitana), plut. Kwieciński i kapr. Franciszek Skorupiński.

Marszałek w tym czasie zamieszkiwał pokoje na pierwszym piętrze. Tam sypiał, tam pracował, tam odbywały się konferencje i audiencje. Ruch wojskowych i cywilnych był codziennie duży, zwłaszcza że obok zwierzchnictwa nad wojskiem Marszałek nadal pełnił funkcje szefa państwa jako Naczelnik. Niektóre oficjalne wizyty czy uroczyste przyjęcia odbywały się w wielkiej sali reprezentacyjnej na parterze. Nieraz w ciągu dnia Marszałek schodził na parter do pokoju Adiutantury aby osobiście wydać jakieś dyspozycje. W tym czasie istniał zwyczaj wspólnego spożywania obiadów przez cały zespół Adiutantury Generalnej. Prawie zawsze Marszałek schodził na te obiady do sali stołowej na parterze. Wszyscy zebrani w pokoju Adiutantury oczekiwaliśmy na jego przyjście. Tworząc pewnego rodzaju szpaler stawaliśmy na „baczość”, po czym za Marszałkiem przechodziliśmy do pokoju stołowego, gdzie każdy zajmował swoje stałe miejsce; Marszałek siedział po środku długiego boku stołu.

W czasie wspólnych obiadów z Marszałkiem nastrój był nieskrępowany, rozmowy toczyły się swobodnie na różne tematy z wyłączeniem tematów służbowych. Marszałek najwidoczniej lubił te obiady w otoczeniu swoich żołnierzy. Gdy zdarzało się, że był w humorze, lubił żarty i przekomarzania w granicach dobrego tonu. By-

wało, że nawet sam podjudzał żartobliwie przekomarzających się i wtedy zaśmiewał się z ich czupurności i impulsywności. Chętnie się śmiał i umiał się śmiać. Nie zawsze jednak humor Marszałkowi dopisywał; brzemień spraw państwowych i nierozłącznie z tym związane rozgrywki i intrygi odbijały się silnie na jego nastroju. Jeżeli w takich dniach schodził na wspólny obiad, zapewne, by znaleźć jakieś odprężenie, bywał najczęściej naburmuszony i mrukiwy. Wiedzieliśmy wtedy, że coś w głębi przeżywa i coś go gnębi.

Pamiętam, jak kiedyś przy obiedzie toczyła się rozmowa na temat piękna polskich jezior. Kapitan Nałęcz-Korzeniowski, bardzo inteligentny, dowcipny i błyskotliwy, a bardziej od innych zżyty z osobą Marszałka od czasów gdy był jeszcze oficerem sztabu I Brygady Legionów, powiedział, że najpiękniejsze z jezior to jezioro Wigry na Suwalszczyźnie. Nałęcz znał dobrze sentyment Marszałka do Wilna i Wileńszczyzny i rozmyślnie chciał sprowokować reakcję Marszałka, który tego dnia był bez humoru i nierozmowny. Udało mu się to całkowicie. Marszałek został do żywego poruszony podobnym oświadczeniem i odezwał się do Nałęcza: „Mów Pan takie bajki mojej żonie; ona pochodzi z Suwałk to Panu przytaknie, ale każdy wie, że najpiękniejsze jest jezioro Trockie”. Marszałek tym się jednak rozchmurzył i odprężył, a z Nałęcza w sposób sympatyczny jeszcze się naśmiewał.

Do stołu podawało kilku kamerdynerów, niektórzy odziedziczeni jeszcze z czasów zaborców i okupantów. Najstarszym wśród nich był Rozalski, niewielkiego wzrostu z bokobrodami à la Franciszek Józef. Rozalski służył w Belwederze jeszcze za czasów Hurki, potem Skąłona i wreszcie za Beselera. Był on klasycznym typem starego wysłużonego lokaja o doskonałych manierach, przy tym jednak prawy, rzetelny i lojalny; w gruncie rzeczy człowiek dobry. Trzymał się bardzo godnie i chodził sztywno. Młodym oficerom – póki ich dobrze nie poznał – zaledwie się kłaniał. Do Marszałka z punktu odniósł się z wielkim respektem i szacunkiem. Wyraził się kiedyś później o Marszałku, że „to jest wielki pan” – takie określenie było w jego pojęciu najwyższą oceną człowieka. Podczas wspólnych obiadów obsługiwał przy stole tylko Marszałkowi, uważając to za

swój przywilej i honor. Usługiwanie innym oficerom pozostawiał młodszemu lokajom.

12 września 1922 roku Marszałek w otoczeniu licznej świty wyjechał specjalnym pociągiem-salonką do Rumunii, by w charakterze Naczelnika Państwa złożyć wizytę królowi Ferdynandowi. Po powrocie z tej podróży oficerowie towarzyszący Marszałkowi opowiadali niektóre zabawne szczegóły z pobytu na królewskim dworze. Sam Marszałek któregoś dnia przy obiedzie bardzo ciekawie i z humorem charakteryzował osoby z rodziny królewskiej. O królu Ferdynandzie powiedział, że to raczej dobry i poczciwy człowiek o przeciętnej inteligencji. Główny ton na dworze starała się narzucać królowa Maria, wykształcona, inteligentna i impulsywna, a przy tym bardzo ambitna i zabiegająca o popularność. Nie zdobyła jednak ani popularności, ani sympatii narodu. Rumuni pragnęli widzieć w swojej królowej większą dostojność, a nie tak żywy i wybuchowy temperament, jakim się odznaczała. Najmądrzejszą, o nieprzeciętnej indywidualności osobą, była zdaniem Marszałka księżniczka grecka Helena, żona następcy tronu Karola. Jak to jest w zwyczaju przy tego rodzaju wizytach, odbyło się wzajemne nadanie różnych odznaczeń. M. in. Marszałek odznaczył księcia Karola Orderem *Virtuti Militari*. Marszałek opowiadał z humorem i lekką ironią, jaką to „pompę” wyreżyserował sobie Karol na uroczystość dekorowania go przez Marszałka. Dla młodszego syna króla, księcia Mikołaja, wówczas szesnastoletniego chłopca, zgodnie z polskim protokołem dyplomatycznym nie przewidywano żadnego odznaczenia. I oto król Ferdynand, który poza oficjalnymi spotkaniami lubił wieczorami przychodzić do apartamentów zajmowanych przez Marszałka na zamku Sinaia na nieoficjalną pogawędkę, poprosił Marszałka o odznaczenie polskim orderem również jego młodszego „chłopca”, Mikołaja. Nie chcąc królowi odmówić, Marszałek odznaczył Mikołaja Orderem *Polonia Restituta*. Ferdynand wyraźnie uszczęśliwiony, bardzo wylewnie dziękował Marszałkowi.

Oprócz Marszałka odnanzonego najwyższym orderem rumuńskim, otrzymali różne ordery i odznaczenia wszyscy oficerowie ze świty Marszałka, a nawet niższy personel, wśród którego był również starszy kamerdyner Rozalski.

Gdy pociąg Naczelnika Państwa wyruszył w drogę powrotną, w imieniu króla asystowało Marszałkowi aż do granicy polskorumuńskiej kilku generałów. W drodze odbył się uroczysty obiad. Ze względów kurtuazyjnych, z uwagi na rumuńskich gości, płk dr Eugeniusz Piestrzyński zarządził, by do obiadu wszyscy założyli otrzymane odznaczenia rumuńskie. W czasie podawania do obiadu jedynie Rozalski wystąpił bez odznaczenia. Gdy później płk Piestrzyński zrobił mu z tego powodu uwagę, oświadczył, że medal rumuński nie jest dla niego żadnym zaszczytnym wyróżnieniem i że w swej długoletniej służbie otrzymywał nie jakieś tam medale, ale prawdziwe wysokie orderzy rosyjskie.

Wiele lat później, gdy pełniłem funkcję szefa gabinetu Ministra Spraw Wojskowych zapowiedziano wizytę księcia Karola w Polsce. Pamiętałem dawne relacje z podróży do Rumunii Naczelnika Państwa i sposób, w jaki wówczas scharakteryzował członków rodziny królewskiej. Teraz Marszałek wydając mi pewne zarządzenia w związku z przyjazdem Karola, jakby głośno myśląc, użył słów: „ależ ten Karol to istny wariat” (niewątpliwie dotyczyło to głównie jego posunięć politycznych na arenie międzynarodowej.)

W sierpniu 1922 roku Naczelnik Państwa odbył oficjalną podróż do Krakowa. W podróży tej wziąłem udział w wyznaczonej świącie. Korzystając z chwili wolnego czasu wielu z nas zwiedzało Kraków. Wybraliśmy się także na krakowskie Bielany, by zwiedzić kościół i klasztor o.o. Kamedułów. W tej wycieczce towarzyszył nam ówczesny kapelan Naczelnika Państwa, ksiądz prałat Marian Tokarzewski, dawny proboszcz z Baru, gorący patriota, bardzo oddany i życzliwy Marszałkowi, ale kapłan o bardzo surowych zasadach. Po zwiedzeniu pięknego kościoła klasztornego zostaliśmy zaproszeni przez o.o. Kamedułów na lampkę wina ich własnej produkcji. Wino, które nazywali skromnym agrestniakiem, było dobrą i mocną nalewką i bardzo nam smakowało. Starsi ojcowie bardzo się kręcili koło ks. Tokarzewskiego, wyraźnie zabiegali o jego względy i długo na uboczu z nim rozmawiali. Zaobserwowaliśmy, że ks. Tokarzewski cały czas był chłodny i sztywny. Kiedy opuściliśmy gościennych gospodarzy, ks. Tokarzewski poinformował nas, że Kameduli złożyli na jego ręce podanie do Naczelnika Państwa z prośbą

o zwrot zakonowi ich dawnej własności na warszawskich Bielanych i prosili ks. Tokarzewskiego o poparcie. Ks. Tokarzewski powiedział nam, że prośby nie tylko nie poprze, ale będzie ją utraçał, bo Kameduli to próżniaki i nieroby, a obecni użytkownicy warszawskich Bielanych, o.o. Marianie, zajmują się pożyteczną pracą oświatową i prowadzą na Bielanych gimnazjum.

Mieliśmy w czasie pobytu w Krakowie bardzo przyjemną atrakcję; krótki wypad samochodami do Zakopanego i Morskiego Oka wraz z Marszałkiem. W wycieczce tej uczestniczyli również generałowie Sikorski i Osiński. Zjedliśmy wspólnie obiad w restauracji w Morskim Oku. Było to 7 sierpnia 1922 r. Marszałek wyglądał dobrze i zdrowo i był w doskonałym humorze.

Powołana przez Naczelnego Wodza – na mocy ustawy sejmowej o ustanowieniu Orderu Virtuti Militari – Tymczasowa Kapituła Orderu Virtuti Militari została w listopadzie 1922 roku rozwiązana. Bezpośrednio potem Naczelnny Wódz powołał pod swoim przewodnictwem tzw. Stałą Kapitułę. Członkami Stałej Kapituły zostali: odznaczeni klasą drugą orderu generałowie Stanisław Szeptycki, Zygmunt Zieliński, Tadeusz Rozwadowski, Stanisław Haller, Jan Romer i Edward Rydz-Śmigły. Odznaczeni klasą trzecią orderu płk Stefan Dąb-Biernacki, płk Gustaw Paszkiewicz, płk Zygmunt Piasecki. Odznaczeni klasą czwartą orderu, ppłk Kazimierz Rybicki, st. sierż. Kazimierz Sipika (z I dywizji piechoty Legionów), st. sierż. Jakubowicz (z 14 dywizji piechoty Wielkopolskiej).

W czasie inauguracyjnego posiedzenia Stałej Kapituły zostałem przez Marszałka wezwany do sali obrad na I piętrze w Belwedrze, gdzie Marszałek oświadczył mi, że przed chwilą w tajnym głosowaniu zostałem wybrany na sekretarza Kapituły i polecił mi zająć miejsce przy stole obrad obok siebie, jako przewodniczącego Kapituły. (Na podstawie ustawy sejmowej Kapituła wybierała sekretarza spośród kawalerów Orderu Virtuti Militari.)

W tymże 1922 roku (ścisłej daty nie pamiętam), zameldowano Marszałkowi o bardzo ciężkiej chorobie gen. dyw. Wacława Iwaszkiewicza. Powiedziano mu, że generał leży w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie, ale lekarze nie rokują nadziei na utrzymanie go przy życiu. W tych warunkach Marszałek zdecydował odznaczyć bez

zwłoki gen. Iwaszkiewicza drugą klasą Orderu Virtuti Militari, to jest Krzyżem Komandorskim z gwiazdą orderową. Gdy odpowiedni wniosek na przepisowym formularzu został przygotowany i przedłożony Marszałkowi do zatwierdzenia i podpisu, Marszałek uzupełnił go od siebie treścią w rubryce zatytułowanej „Okoliczności, które szczególnie wpływają na odznaczenie”. Podaję tu prawie ścisły tekst:

W 1920 roku w bardzo ważkim momencie działań operacyjnych zdecydowałem reorganizację dowodzenia na froncie południowo-wschodnim i mianowałem generała Edwarda Rydza-Smigłego dowódcą frontu, podporządkowując mu m.in. 6-tą armię dowodzoną przez generała Iwaszkiewicza. Żeby uniknąć jakichkolwiek ewentualnych niespodzianek ze strony gen. Iwaszkiewicza, wysłałem do niego mego oficera, pułkownika Wieniawę-Długoszewskiego, by omówił i przygotował gen. Iwaszkiewicza na tę zmianę. Pułkownik Wieniawa po swym powrocie zameldował mi, że gen. Iwaszkiewicz odpowiedział: „Proszę zameldować Naczelnemu Wodzowi, że może być zupełnie spokojny. Mam rozkaz, że generał Śmigły jest moim przełożonym; to mi wystarczy, a nie pytam ile lat ma generał Śmigły i skąd pochodzi.”

Z rozkazu Marszałka razem z gen. Jacyną pojechaliśmy do Szpitala Ujazdowskiego, by wręczyć gen. Iwaszkiewiczowi insygnia orderu. Zostaliśmy przez komendanta szpitala i kilku starszych lekarzy wprowadzeni do pokoju, w którym leżał ciężko chory generał. Na nasz widok z dużym wysiłkiem podniósł się nieco do pozycji siedzącej. Gen. Jacyna krótko przemówił i w imieniu Naczelnego Wodza udekorował gen. Iwaszkiewicza, zawieszając mu na szyi Krzyż Komandorski Orderu Virtuti Militari i kładąc obok przynależną do Krzyża gwiazdę orderową. Gen. Iwaszkiewicz bardzo wzruszony prosił gen. Jacynę o przekazanie Naczelnemu Wodzowi jego podziękowania za to wysokie odznaczenie i wyróżnienie. Wszyscy obecni przy tej uroczystości byliśmy ogromnie wzruszeni całym przebiegiem dekoracji tak zasłużonego generała i wybitnego dowódcy. W czasie wojny 1919-1920 był on jednym z wyższych dowódców wysoko cenionych przez Marszałka Piłsudskiego. Gen. Iwaszkiewicz pełnił służbę jeszcze w armii rosyjskiej. Pochodził z osiadłej w Rosji rodziny o starych polskich tradycjach patriotycznych. Do wojska

polskiego przybył z tzw. polskich formacji wojskowych na wschodzie. Świetny żołnierz, cieszył się w wojsku dużą popularnością i wielkim szacunkiem.

Rok 1922 zbliżał się do końca. Marszałek miał wkrótce opuścić stanowisko Naczelnika Państwa. W grudniu, zgodnie z przepisami Konstytucji, przewidziany był wybór pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej. Przez dwa lata miałem okazję przyglądać się wielu wydarzeniom i obserwować mechanizm życia państwowego. Spotkałem i poznałem wielu ludzi zarówno pośród polityków, jak i wyższych wojskowych z generacją na czele. Sejm rozbity na masę partii i partyjek, w swej większości endecko-chadecki, był terenem burzliwych i ustawicznych rozgrywek i intryganctwa. Nie był to widok budujący. Przez Belweder przewijało się wówczas wielu ludzi. Marszałek jak zawsze pracował bardzo dużo, do późnych godzin nocnych. Naczelnik Państwa, kierując sprawami młodego państwa, nie miał lekkiego życia w tym okresie kształtowania się życia politycznego odrodzonej Polski. Mimo olbrzymich nieraz trudności wewnętrzno-politycznych i kłód rzucanych mu pod nogi, autorytet Marszałka Piłsudskiego w kraju był niezwykle wielki. Coś było w tym człowieku, co zmuszało nawet oponentów do szacunku. Może obok zalet jego wielkiego umysłu i rozważnego kierowania sprawami państwa, podnosiła autorytet powszechnie uznawana szlachetność, prawość i bezinteresowność człowieka, przy tym niezwykle skromnego w życiu prywatnym, dla którego jakieś osobiste korzyści materialne w ogóle nie istniały, gdyż całym swym życiem dowiódł, że wytyczną jego postępowania i działalności była sprawa wolności Ojczyzny i jej szczęśliwej przyszłości.

Zabójstwo prezydenta Narutowicza

Zgodnie z obowiązującą konstytucją 9 grudnia 1922 roku zebrało się Zgromadzenie Narodowe celem wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej. Po kilku kolejnych głosowaniach wybrany został Gabriel Narutowicz, dotychczasowy minister Robót Publicznych, uczo-ny światowej sławy. Marszałek Sejmu Maciej Rataj ogłosił oficjalnie wybór Narutowicza na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej. Pomimo

w pełni legalnego wyboru prawica endecko-chadecka rozpętała w prasie ordynarną burzę. W wypowiedziach, oświadczeniach i publikacjach bardzo niewybrednych i uwłaczających jakimkolwiek pojęciom o kulturze politycznej, prym wiedli Stanisław Głabiński, Stanisław Grabski, Marian Seyda, Józef Chaciński, Wojciech Korfanty, Edward Dubanowicz, Stanisław Stroński i inni. Wybór nazwali oni zniewagą, gdyż między innymi na Narutowicza oddały swe głosy mniejszości narodowe. Prawicowa prasa szalała, a szczególnie wyróżniał się w tej kampanii poseł profesor Stanisław Stroński, publikując artykuły podburzające i pełne niedwuznacznych gróźb pod adresem elekta. Stroński zasłużył sobie na miano jednego z głównych podżegaczy w tragedii, która wkrótce miała się rozegrać i doprowadzić do morderstwa Prezydenta Rzeczypospolitej. W swych publicznych przemówieniach gen. Józef Haller nazywając wybór Narutowicza „sponiewieraniem Polski”, podjudzał wprost do czynnego przeciwstawienia się wyborowi. W tak przygotowanej atmosferze wyznaczone zostało na 11 grudnia 1922 roku Zgromadzenie Narodowe w celu zaprzysiężenia Prezydenta Rzeczypospolitej. Prawica postanowiła nie dopuścić do wykonania tego obowiązującego aktu konstytucyjnego i storpedować Zgromadzenie Narodowe. Od wczesnego rana zmobilizowała w pobliżu gmachu Sejmu kilkudziesięcny tłum swych zwolenników, którzy obstawili ulicę Wiejską, część Alei Ujazdowskich i Plac Trzech Krzyży z zamiarem przeszkodzenia w przejeździe Narutowicza do gmachu sejmowego. Plan obejmował również niedopuszczenie do gmachu Sejmu maksymalnej grupy posłów i senatorów z innych stronnictw politycznych, aby w ten sposób zabrakło w Zgromadzeniu przepisowej liczby posłów. Podczas tej akcji wielu posłów i senatorów zostało pobitych przez endeckie bojówki. Po wyborze Narutowicz zamieszkał czasowo w Pałacu Myśliwieckim w Łazienkach i stamtąd wyjeżdżał do gmachu Sejmu otwartym belwederskim landem zaprzężonym w parę koni, w asyście honorowej dywizjonu z 1 pułku szwoleżerów pod dowództwem majora Leona Strzeleckiego. Ponieważ ówczesny premier rządu, prof. Julian Nowak, uchylił się od obowiązku towarzyszenia Prezydentowi, w landzie jechał obok Narutowicza dyrektor protokołu dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Przeździecki. Policja

zgodnie z instrukcjami ministra Spraw Wewnętrznych Kamińskiego zachowywała się cały czas biernie. Gdy orszak prezydencki jechał przez Aleje Ujazdowskie, oddział szwoleżerów bokami i zadami końskimi rozsuwał prowizoryczne barykady z ławek, by utworzyć drogę dla przejazdu landa. Zgrupowane tam endeckie bojówki studenckie z kijami przywitały elekta wrogimi okrzykami i gwizdami, obrzucając przy tym lando kulami ze śniegu i błota oraz kamieniami. Jedna z takich kul, choć nieszkodliwie, ugodziła Prezydenta w twarz. Mimo wszystkich tych wyczynów elekt stanął przed Zgromadzeniem Narodowym i złożył przepisana przez konstytucję przysięgę. Zamach endecko-chadecki nie udał się. Obóz ten jednak nie zaprzestał swej nikczemnej działalności. W prasie prawicowej ukazywały się nadal groźby zapowiadające, że nawet krew się poleje. Niedwuznacznie grożono Prezydentowi śmiercią, a także wysyłano anonimy grożące śmiercią jego synowi.

Dzień 14 grudnia 1922 został wyznaczony na uroczyste i oficjalne przekazanie władzy Prezydentowi Rzeczypospolitej przez Naczelnika Państwa. Obserwując w tych ostatnich dniach Marszałka, my oficerowie Adiutantury Generalnej, dostrzegaliśmy jego hamowane oburzenie na metody stosowane przez obóz mieniący się „narodowym”, na łamanie podstawowych zasad praworządności i znieważanie majestatu Rzeczypospolitej. W przeddzień przekazania władzy Marszałek zarządził odprawę z całym personelem Adiutantury Generalnej oraz z kierownictwem Kancelarii Cywilnej Naczelnika Państwa. Gdy zebraliśmy się wszyscy w wielkiej sali Belwederu, wszedł Marszałek. Zapanowała kompletna cisza. Marszałek przez dłuższą chwilę nie odzywał się. Było widoczne, że jest niesłuchanie wzburzony. Nigdy nie widziałem Marszałka tak zirytowanego i prawie wściekłego jak tym razem, gdy przez krótki czas chodził nerwowo po sali wzdłuż wyciągniętych szeregów. Wreszcie przemówił do nas. Zaczął wydawać szczegółowe rozkazy i instrukcje na dzień następny. Niektóre fragmenty przemówienia i rozkazów oraz instrukcje Marszałka zapamiętałem prawie dokładnie i po odprawie zanotowałem. Marszałek mówił: „Proszę Panów, jutro przekazuję władzę Prezydentowi Rzeczypospolitej w obecności Rządu i przedstawicieli Sejmu i Senatu... Jestem jeszcze gospodarzem tego domu. Mój dom

jest domem honoru. Nie dopuszczę do żadnych burd i zakłócenia tego aktu państwowego... Belweder otoczę wojskiem... Policja i inni szmacciarze niech mi się tu nie kręcą... I pułk szwoleżerów ustawi się na ulicy Bagatela. Szkoła Podchorążych ustawi się w rozwiniętym szyku w poprzek Alei Ujazdowskich tyłem do domu publicznego (niewątpliwie odnosiło się to do Sejmu)... Szef Kancelarii Cywilnej przygotowuje dla wszystkich przybywających do Belwederu przepustki. Porucznika Horodeckiego (jeden z adiutantów przybocznych) wyznaczam na posterunek przy kordonie Szkoły Podchorążych. Każdy nadjeżdżający ekwipaż będzie Pan wyciągniętą szablą zatrzymywał i sprawdzał przepustki i tylko wtedy Pan przepuści do Belwederu. Jedynie bez zatrzymywania przepuści Pan powóz z moją żoną. Pozna Pan po siwych belwederskich koniach”. W dalszym ciągu Marszałek wyznaczył poszczególnych oficerów do różnych funkcji; oczekujących przy wejściu do Belwederu, dyżurujących w poszczególnych salach przejściowych. Ja zostałem wyznaczony do pierwszej sali od hallu, gdzie miałem witać przybywających i przeprowadzać ich do sali następnej, w której dyżurował już inny oficer. Cała oficjalna część miała się odbyć na I piętrze. Marszałek zarządził, żeby wszystkich przeprowadzać na I piętro schodami wewnętrznymi, a nie schodami głównymi z hallu. Pod koniec odprawy Marszałek zwrócił się do gen. Jacyny, adiutanta generalnego: „Pan, generale, po akcie przekazania władzy wyjdzie z Prezydentem na dziedziniec belwederski; wtedy szwadron przyboczny sprezentuje broń, a Pan wzniesie okrzyk „Prezydent Rzeczypospolitej niech żyje!”. Okrzyk ten podjęty przez szwadron powtórzą pozostałe oddziały wojska”.

Długo po skończonej odprawie komentowaliśmy między sobą jej przebieg, otrzymane zarządzenia oraz tak ogromne wzburzenie Marszałka i ostrość jego reakcji. Byliśmy oczywiście pod wielkim wrażeniem tego wydarzenia. Następnego dnia już od wczesnego rana byliśmy wszyscy na służbie. Oddziały wojskowe zajęły wyznaczone im miejsca. Marszałek od rana kilkakrotnie schodził do nas na parter. Zwróciło naszą uwagę, że Marszałek ciągle jeszcze nie jest przebrany w mundur marszałkowski, lecz ma na sobie dawną szarą strzelecką kurtkę bez żadnych dystynkcji i odznaczeń. Zagadka ta miała się wkrótce wyjaśnić.

W eskorcie honorowej szwadronu przybocznego zajechał przed ganek Belwederu Prezydent Narutowicz. Zjeżdżali się członkowie rządu, marszałkowie Sejmu i Senatu. Kiedy witałem jednego z ministrów (bodaj resortu oświaty) nie wytrzymał on nerwowo i z niehamowaną irytacją powiedział: „Musiałem po drodze okazywać przepustkę”. Ponieważ pełniłem służbę na parterze, nie byłem bezpośrednim świadkiem tego, co działo się na górze. Pamiętam jednak dobrze z relacji tych kolegów, którzy pełnili służbę adiutancką na piętrze, że nie obyło się bez zgrzytów i szeregu drastycznych momentów.

Na samym wstępie Marszałek witając wszystkich przybyłych powiedział: „Przyjmuję Panów w tej szarej, bez odznak, kurcie strzeleckiej, w której przyszedłem... w niej wyjdę... bez płam na moim mundurze”. Później, w pewnym momencie Marszałek wskazując na małą podręczną kasę powiedział: „Proszę i żądam przeliczenia i sprawdzenia zawartości kasy”. Cisza i konsternacja zapanowały wśród obecnych, a Marszałek ponowił w tonie kategorycznym swe żądanie. Wtedy podszedł do kasy minister Skarbu Jastrzębski, położył na niej rękę i oświadczył: „Panie Marszałku, ja biorę odpowiedzialność za tę kasę”.

Po zakończeniu części oficjalnej na górze wszyscy zeszli do sal parterowych. Prezydent Narutowicz w towarzystwie gen. Jacyny wyszedł na dziedziniec belwederski. Trębacze zagrali sygnał wojska polskiego, oddziały sprezentowały broń. Jacyna przed frontem szwadronu przybocznego wznosił okrzyk „Prezydent Rzeczypospolitej niech żyje!”. Szwadron podchwycił ten okrzyk, a w ślad za nim wszystkie oddziały wojskowe. Prezydent wrócił do pałacu i wraz z członkami rządu i przedstawicielami Sejmu i Senatu wziął udział w śniadaniu wydanym przez Marszałka i jego małżonkę Aleksandrę Piłsudską. Po podaniu wina Marszałek stając przed Prezydentem w zasadniczej postawie żołnierskiej wygłosił krótkie przemówienie i wznosił toast na cześć Prezydenta.

Gdy następnie przyjęcie przybrało charakter bardziej swobodny i towarzyski, Marszałek powiedział z humorem, że ma nadzieję, iż „znakomita myśliwska suka Pana Prezydenta może łatwiej znajdzie insygnia królewskie, niż ja”. Niewątpliwie była to aluzja do

rozpowszechnianych przez endecką „kuźnię propagandową” rozmaitych plotek i niewybrednych kłamstw preparowanych przeciwko Naczelnikowi Państwa i Naczelnemu Wodzowi.

Tegoż jeszcze dnia Marszałek odjechał do swego prywatnego mieszkania przy ulicy Koszykowej. W Belwederze zainstalował się Prezydent Narutowicz. Zajął on dawny apartament Marszałka na pierwszym piętrze. Gdy zapytano, jak sobie życzy go urządzić, Prezydent zakazał czynienia jakichkolwiek zmian. „Ma pozostać wszystko tak, jak było, gdy Marszałek tu mieszkał i pracował. Po cóż zresztą cokolwiek zmieniać – powiedział – czy po to by w przyszłości znowu rekonstruować narodową pamiątkę po wielkim Polaku?”. Tak więc zgodnie z wolą Prezydenta nic nie zostało zmienione ani nawet przestawione.

Cała Adiutantura Generalna wraz z gen. Jacyną pozostała na swych funkcjach przy Prezydencie. Zналиśmy go już przedtem, gdy nieraz przyjeżdżał do Belwederu na konferencje z Naczelnikiem Państwa. Obecnie jednak mieliśmy sposobność obserwować go bliżej pełniąc przy nim służbę. Był on nie tylko wielkim i wybitnym uczonym o europejskiej sławie, ale także człowiekiem niezmiernie miłym i dobrym, o wysokiej kulturze, w obejściu niezwykle prostym, bezpośrednim i naturalnym.

W nocy z 15 na 16 grudnia wypadła na mnie służba nocna dyżurnego oficera w adiutanturze. Wieczorem Prezydent polecił mi obudzić go następnego dnia rano o godzinie siódmej. Udałem się rano na piętro i obudziłem Prezydenta.

W sobotę 16 grudnia 1922 roku Prezydent wyjechał z Belwederu z kurtuazyjną wizytą do kardynała Kakowskiego. Bezpośrednio po tej wizycie pojechał do Zachęty na otwarcie wystawy, na godzinę 12. W tym czasie zebrało się nas kilku oficerów w pokoju adiutantury w oczekiwaniu na powrót Prezydenta. Prowadziliśmy między sobą jakąś towarzyską rozmowę, gdy nagle rozległ się dzwonek telefonu stojącego na biurku najbliżej mnie. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos adiutanta porucznika Sołtana, który, robiąc krótkie przerwy, urywanym głosem mówił: „Prezydent ranny... trzy kule... nie żyje”. Nie odrywając słuchawki od ucha głośno powtórzyłem co usłyszałem. Jeden z kolegów z drugiego aparatu zadzwonił do szwadronu

przybocznego alarmując, by szwadron natychmiast jechał pod Zachętę. Zbulwersowani do głębi wyszliśmy na chwilę przed Belweder i obserwowaliśmy pędzący w pełnym galopie szwadron przyboczny pod dowództwem porucznika Józefa Szostaka. Szwadron zdumiewająco szybko po alarmie był gotów i galopował przez Łazienki; wypadł najbliższą bramą przy Belwederze w Aleje Ujazdowskie i popędził pod Zachętę. Widziałem, jak niektórzy żołnierze w galopie kończyli dopinać pasy i troki przy siodłach.

Trudno mi nawet opisać wrażenie i ogromny wstrząs, jaki wraz z obecnymi kolegami przeżyłem po odebraniu telefonu z okropną wiadomością. Przed frontowym wejściem do Belwederu oczekiwaliśmy na powrót smutnego orszaku. Po pewnym czasie w eskorcie szwadronu przybocznego zajechało wyciągniętym kłusem otwarte lando. Na landzie na noszach zwłoki Prezydenta Rzeczypospolitej nakryte sztandarem państwowym. Po dwóch stronach na stopniach stali generał Jacyna i porucznik Sołtan. Widok tragiczny, niezapomniany. Trzeba było wielkiego opanowania i siły woli, by zdusić w sobie łzy cisnące się do oczu. Nam, młodym, ale starym już służbą żołnierską w walkach o wolność i niepodległość Ojczyzny oficerom, los nie oszczędził widoku zamordowanego w zaraniu niepodległego bytu Państwa Prezydenta Rzeczypospolitej.

22 grudnia 1922 roku odbyły się uroczystości pogrzebowe w Katedrze Św. Jana w Warszawie. Trumna ze zwłokami Prezydenta umieszczona w sarkofagu została pochowana w osobnej krypcie w podziemiach Katedry.